

WISŁA

TYGODNIK ILUSTR. POŚWIĘCONY LITERATURZE, SZTUCE I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

PRENUMERATA »WISŁY« WRAZ Z PREMIAMI ARTYSTYCZNYMI WYNOŚI:

W KRAKOWIE z przesyłką pocztową
rocznie K 20.—, półrocznie K 10.—,
kwartalnie K 5.—.

W WARSZAWIE rocznie Rb. 8.—,
półrocznie Rb. 4.—, kwartalnie Rb. 2.—.
Odnoszenie do domu kwartalnie kop. 15.

W POZNANIU I NA PROWINCYI
z przesyłką pocztową rocznie M. 24.—,
półrocznie M. 12.—, kwartalnie M. 6.—.

NA PROWINCYI z przesyłką pocztową
rocznie K 24.—, półrocznie K 12.—,
kwartalnie K 6.—.

NA PROWINCYI z przesyłką pocztową
rocznie Rb. 12.—, półrocznie
Rb. 6.—, kwartalnie Rb. 3.—.

ZA GRANICĄ rocznie K 30.—.

ZESZYT POJEDYNCZY hal. 50,
kop. 20, fen. 50.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
KRAKÓW, ULICA BATOREGO L. 4.

WARSZAWA, BIURO DZIENNIKÓW UNGRA,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 78.

Do każdego zeszytu dołączoną jest
barwna pocztówka.

Rok I.

Kraków, dnia 20 kwietnia 1912 r.

Numer 3.



„AKSMANN“

BIURO I SKŁAD
- MASZYN -
DO PISANIA
SPÓŁKA Z OGR. POR.

W KRAKOWIE
UL. SZEWSKA L. 24
TELEFON Nr. 1522.

**Ważne dla posiadaczy losów
i papierów wartościowych.**

Już wyszedł **Rocznik finansowy na rok 1912**,
który zawiera wykazy niepodjętych wygranych,
wynoszących setki milionów koron i wysłany będzie
BEZPŁATNIE temu, kto nadeśle prenumeratę ca-
loroczną koron 3.60, lub półrocznie koron 1.80 na
Gazetę handlową i losowań „Merkury“.

Adres: Administracja gazety handlowej i losowań:
„MERKURY“, Kraków, ulica Floryańska L. 3.

PALCIE TUTKI
PASCHALSKIEGO

Oducza jękania się
K. GABRYEŁSKI
Kraków, ulica św. Anny.

PIERWSZE GALICYJSKIE

BIURO INFORMACYJNE
W SPRAWACH KREDYTOWYCH

Hieronim Weiss i Ska
w Krakowie, Groble L. 8

jest wogóle najstarszem polsk. biurem tego rodzaju.

Założone w 1887 r.

Prospekty darmo.

SEFAN UNGER, WARSZAWA
Aleje Jerozolimskie L. 78. - Telefon 77-83.

Posiada na składzie najpiękniejsze pocztówki, reprodukcy dzieł polskich Artystów-Malarzy, wydawnictw „WISŁA“ w Krakowie i S. W. Niemojowski we Lwowie i sprzedaje takowe swoim odbiorcom po cenach konkurencyjnie niskich.

!!!!!! Co miesiąc nowości !!!!!!!

„UNDERWOOD“

oryg. amer. maszyna
do pisania z zupełnie
widocznym pismem.

Emil Urich
GEN. ZASTĘPCA.

Lwów, ul. Sykstuska 29, tel. 901,
Filia Kraków, Szewska 19, tel. 1164.
Szkoła pisania na maszynie. Aparaty do pow.
Kasy ogniotrwałe i kasetki. Cenniki darmo.

==== OD REDAKCYI ====

Dbając o udoskonalenie i rozwój naszego pisma, czynimy zadość licznym życzeniom naszych przyjaciół i prenumeratorów i znosimy stałą kolorową okładkę, dając w zamian większą ilość ilustracyi w treści, oraz powiększając objętość zeszytu przez dodanie 4-ech stron druku.

Ostatnie artystyczne wydawnictwa „WISŁY“

barwne reprodukcye z dzieł najwybitniejszych artystów malarzy polskich, w formie pocztówki:

- Nr. 327. F. Franić: „Sokoli“
- „ 328. „ „Banderze Krakusów“
- „ 329. „ „Odpoczynek ułana“
- „ 330. „ „Zwycięzcy z pod Samosierry“
- „ 331. P. Michałowski: „Ogniste rumaki“
- „ 332. A. Grottger: „Pożegnanie ukochanej“
- „ 333. E. Kazimierowski: „Scherzo“
- „ 334. S. Klimowski: „Ranną porą“
- „ 335. W. Wodzinowski: „Opowiadanie“
- „ 336. „ „Tajemnicze zwierzenia“
- „ 337. F. Franić: „Trębacz“
- „ 338. „ „Strzelec konny“
- „ 339. P. Michałowski: „Jeździec“
- „ 340. St. Reychan: „Portret“
- „ 341. „ „Portret“
- „ 342. „ „Studyum“
- „ 343. A. Grottger: „Narzeczona artysty“
- „ 344. B. Rambašek: „Studyum“
- „ 345. T. Axentowicz: „Główka“
- „ 346. „ „Rusinka“

Wykonane na pięknym kredowym kartonie.

Do nabycia we wszystkich handlach papieru i księgarniach. Tam, gdzie niema, wysyła Wydawnictwo powyższe reprodukcye wprost, opłatnie, za poprzedniem nadesłaniem w markach pocztowych

Kor. 2 hal. 40.

==== „Wisła“, Kraków, ulica Batorego L. 4. ====

WISŁA

TYGODNIK ILUSTR. POŚWIĘCONY LITERATURZE, SZTUCE I SPRAWOM SPOŁECZNYM



T. AXENTOWICZ

»ZADUMA«.

MACIEJ WIERZBIŃSKI:
MAŁŻEŃSTWO NA PRÓBĘ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Pan Edward więcej w tej chwili spragniony herbaty aniżeli rozmowy o literaturze, ograniczał się na roli wtórującego basisty i przyglądał się Izi.

Dawniej nie dbał o strój, był wyższym ponad burżujskie obyczaje i mody, lecz wyzbył się tej pogardliwości w wycieczkach swoich do Paryża i do Włoch — które nawiasem mówiąc, kończyły się zawsze depešowemi prośbami do znajomych lub kierownika teatru o wiatyk na powrót. Wyzbył się tego tak gruntownie, że popadł w drugą ostateczność — z śmietnika cyganeryi podniósł się różnobarwny Feniks, elegant czternastej próby, z igły zdjęty, który za ostatnie grosze kupował kosztowną panamę, musiał mieć mydełko do nacierania kołnierzyków na brzegach i studyował mody.

Sam ubrany w ładny (acz nie zapłacony) kostyum jasny angielskiego kroju, zauważył, że panna Nierzyńska wypadła na ich powitanie w arcywystużonych batystach, blade-liliowatych a sromotnie wymęczonych w pralni. Na bosych nogach miała sandały, włosy ciemne, związane były w niedbały węzeł, opadający na obnażoną szyję. Figura jej wiotka, nie opancerzona gorsetem, pozbawiona charakterystycznych cech kobiecych, przedstawiała się mimo wszystko wdzięcznie. Bładawą twarz o dość regularnych rysach, ożywiała para modrych oczu, których promienie godziły w twarz literata, jakby wzywając do flirtowania, i pan Edward przyznawał, że mimo uderzające niedostatki w modzie, Izia była niebrzydkiem zjawiskiem, wyposażonem nieuchwytną dystynkcyą w liniach i w obejściu, która kazała zapominać o bagatelizującej gości sukience i nawet swadzie ich, potracającej często o zakazane brzegi, nakładała pewien hamulec.

W toku rozmowy wyrosła w progu koścista, rolą pachnąca figura, którą pan Edward wziął w pierwszej chwili za karbowego, — hreczkosiej w długich butach, o twarzy ogorzałej, mocno zarosłej płowymi włosami, w których mimo piątego krzyżyka, jaki pan Nierzyński nosił, nie srebrzyła się jeszcze siwizna.

Uderzył do panny Szternerówny, przęcając się po wojskowemu, i, cmoknąwszy ją w rękę z uszanowaniem, tłumaczył swe opóźnienie żniwami. Gdy córka przedstawiła mu literata, przybrał jowiszowy wyraz twarzy, jakby przed fotografem, uściśnął dłoń gościa bez słowa i zajął miejsce w przyzwoitej od niego odległości. Zamieniwszy kilka zdawkowych

zdań z panną Zofią, zapadł w kamienne milczenie, ale słuchał słów córki zaciekawiony, co jego Izia może mieć sobie do powiedzenia z opatentowanym przez teatr literatem, o którym pisywano w gazetach i który sam mógł pisywać w gazetach. Wszyscy zaś ludzie tej kategorii budzili w nim niewytłomaczony lęk, pomieszany z szacunkiem. Miał wrażenie, że są to z innej gliny ulepione dzieci starego Marsa.

A Izia wygłaszała zdanie:

— Jeżeli bohaterka jest niekonsekwentną i psychologicznie nie rozwiniętą, to poczytuję to właśnie za wielką zaletę powieści, bo ludzie są pełni sprzeczności, nieobliczalni w nastrojach.

— Opiera się pani na zdaniu Tołstoja, który twierdzi, że w każdym człowieku jest wszystko — bąknął pan Edward, myśląc czy nie sięgnąć jeszcze po kawałek placka. Zresztą był przekonany, że Izia innym razem wystąpi z wręcz przeciwną, apodyktyczną tezą, jakby dla wykazania na przykładzie nieobliczalności ludzkiej.

— Tak... — odrzekła z wahaniem panna, trochę zmartwiona, że on nie uznawał w niej wynalazczyni oryginalnego dogmatu estetycznego. — Nie można w beletryście przedstawiać ludzi tak, jakby byli istotami w sobie skończonemi, z kamienia jednego wyciosanemi.

Ogromne zdumienie wyczierało z szklistych źrenic pana Nierzyńskiego. Przestał jeść i patrzył na córkę, niby na raroga, niby na cudotwór i nie mogło mu się pomieścić w głowie, że był ojcem tak mądrej panny, przemawiającej językiem, zgoła dlań niezrozumiałym, dysputującej na dobre z — literatem.

Istotnie zawrzała dyskusya. Pan Edward zapalił się i począł rozwodzić nad różnymi kątami widzenia, zawisłymi od indywidualności artysty. Gdy wspomniał o linii życia, jakiej dopatrzeć się można w kolejach każdego osobnika, pan Ignacy zwątpił o Izi. Sądził, że w nierównym boju padnie bez tchu, bez słowa repliki pod ową linią. Lecz Izia sparowała cięcie, obryzgała przeciwnika potokiem uwag, naszpilkowanych terminami naukowymi, więc szacunek prostaczego ojca dla córki wezbrał, jak bałwan.

W ogniu akademickiej potyczki, pan Edward i Izia nie zauważyli prawie, że od strony wyjścia do kuchni zamigotała w cieniu biała plama, prze-

cięta w pasie czerwonym paskiem i wsunęła się cicho, na sandałach, dość niska, tęga blondyna, nakryta dużym słomkowym kapeluszem.

Z radosnym wyrazem na pulchnych licach zbliżyła się żwawo do panny Zofii, która powitała ją przyjaznym wykrzyknikiem:

— Istna niespodzianka! Dopiero tutaj dowiedziałam się, że pani w Zielnikach spędza wakacje!

— Gdzież to siedziałaś tak długo?! — wpadła pani Okuniewiczowa i dodała, obmacując naczynie z kawą. — Nigdy nie przychodzisz na czas. Kawa ostygła.

— Zatrzymano mnie... Gospodyni niezdrowa... Dlatego nie mogłam stawić się na powitanie pani — mówiła niskim głosem panna, trochę zadyszana.

Z przedziwnie łagodnej jej twarzy spływały promienie sympatii na siwą głowę panny Szternówny.

— Muszę pani opowiedzieć zaraz o powodzeniu, jakie ma na folwarku jej ostatnia powieść dla młodzieży i... pomówić z panią o tem.

— Więc pani rozpowszechnia tu moje powieści?

— Wydało mi się, że właśnie ta powieść, po głębiająca umiłowanie do ziemi, znajdzie niemały oddźwięk na wsi i nie omyliłam się.

Rozmowa na ten temat byłaby przeciągnęła się długo, lecz pani Okuniewiczowa szarpnęła blondynę za rękę.

— Basiu!... Pan Rostanowski... Panna Barbara Możarowska, nasza kuzynka.

Literat uściśnął szybko dłoń panni Basi, otaksował ją instynktownie na ubogą kuzynkę do wszelakich posług domowych przydatną, i zaledwie zaszczyciwszy ją spojrzeniem, podjął wątek dyskusji z panną Izją.

Basia siadła między panną Zofią a Izją, lecz raz po raz podnosiła się, by przynieść to i owo, podsuwała wszystkim chleb, placek, szczególnie troszcząc się o wytrwale milczącego gospodarza domu. Zauważywszy, że porwany rozmową literat nic nie je, postawiła przed nim salaterkę z rzodkiewkami, a, gdy jeszcze nie sięgnął po nie, zwróciła mu na nie uwagę.

Ale pan Edward nie miał czasu. Aby coś odrzec, bąknął mimochodem, że nie jada białych rzodkiewek.

Po chwili zieleniły się przed nim pączki czerwonych rzodkiewek, których przedtem na stole nie było. Spostrzegłszy je pan Edward, zapomniał raptem o teoriach estetycznych i rozwarł oczy szeroko na jasnowłosą pannę, która snadź nie miała nic lepszego do czynienia, jak odgadywać drobiazgowo upodobania swego otoczenia.

Na dźwięk: »panna Barbara«, mignął mu przed oczyma duszy zarys brzydkiej, w liść jesienny zaszuszonej niewiasty, z staroświeckimi à croche — coeur'ami i z robótką w ręku. Tymczasem owa Basia była młoda i ładna, w tym bodaj co Izia wieku, a więc mniej więcej w dwudziestej i szóstej wiosnie, bogata w ciało, z wydatnymi piersiami, z dołeczkami na gładkich licach, przyprószonych opalenizną. Ładnie zarysowane czoło wieńczył diadem złotawo-łłowych włosów, które w gruby splecione warkocz, okalały głowę. Oczy wyzierały bardzo jasnymi, siwymi kręgami, jakby z zarośli i panu Edwardowi wydało się, nie wiadomo czemu, że było w nich coś specyficznie polskiego.

Wgryzł się w nią ciekawym okiem artysty, oceniał jej renesansowo-swojską urodę i bezwiednie szukał w głowie ostatecznego wyrazu dla zespołu spostrzeżeń.

Pod energicznym naporem pocisków wzrokowych, zapaliło się coś w Basi; blask otoczył jej twarz jak zorza, i spłynął po niej błyskawicznie. Przystłoniła oczy rękami i odwróciła głowę.

Głos Izi ocknął pana Edwarda i rozmowa potoczyła się dalej po torach literackich. Wreszcie położyła jej kres pani Okuniewiczowa, głośnym szurganiem bucikami, dając hasło do powstania od stołu.

Ściskając ręce panny Zofii, panna Basia szepnęła do niej przymilnie:

— Przyjdę do pani wieczorem na pogawędkę. Dobrze?

Zaczem wymknęła się niepostrzeżenie.

A pani Okuniewiczowa zainicyowała procesję po pokojach w asyście pana domu, by pokazać gościom mieszkanie, aczkolwiek nie było w niem nic godnego uwagi.

Były to obszerne, jasne, ale niskie pokoje, zapełnione częścią staremi gratami, częścią trzciniowymi i bambusowymi meblami, tak, iż wnętrze dworu robiło wrażenie willi, na wyuczasy letnie przeznaczonej. I zewnątrz dwór, którego nikt, mimo najlepszych chęci, nie byłby mógł nazwać pałacem, przypominał swą lekką strukturą siedziby letników. Jedyne wspaniały zajazd nadawał mu piętno wiejskiego dworca. Bładożółte ściany, umajone gdzieś nigdzie pnąciami różami, uśmiechały się do gościa sympatycznie. Z drugiej zaś strony, o kilkanaście kroków od okien, słało się dość duże, krągłe jezioro i podmywało lazurami wodami stoki pagórka, spadającego okwiecionemi ładajak terasami na estradową platformę z śnieżną balustradą. Dzięki tej pięknej tafli jeziora, słynęły Zielniki w okolicy z swego malowniczego położenia.

(C. d. n.)



Z WYSTAWY „SZTUKI“ W KRAKOWIE



FR. BRUZDOWICZ: »ANIOLY«.

HUGONA KOŁŁATAJA NIEZNANY POEMAT EPICZNY „JOBIADA“.

W pośmiertnej spuściźnie literackiej Hugona Kołłątaja, wielkiego statysty, polityka i reformatora szkolnictwa naszego, wśród rękopisów nieogłoszonych dotąd drukiem, a przechowanych częściowo w bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie, znajdują się także trzy części poematu epicznego tego znakomitego pisarza p. t. »Jobiada«. Historia tego poematu jest następująca. Kołłątaj, jak wiadomo, był jednym z nielicznych swego wieku pisarzy, który, pomimo głębokiej erudycji, pomimo wykształcenia humanistycznego, które kontynuował we Włoszech, nie uległ ogólnemu prądowi i choć pozostawił po sobie ogromną literacką spuściźnię, nie hołdował poezji. Była jednak w życiu tego pisarza jedna chwila, kiedy umysł jego, zgnębiony przeciwnościami i prześladowaniami, u schyłku życia, zwrócił się do źródeł poezji klasycznej i z jej wzorów zaczerpnął formy i pomysłu do poematu, na większą zakreślonego skalę, w którym roztoczył bolesną skargę na losy przeciwnie. Uwięziony w r. 1794 w ucieczce z Królestwa do Galicji, wywieziony następnie do Ołomuńca i Josefstadu, na wygnaniu, w więziennej celi rzuca Kołłątaj na papier trzy pieśni poematu elegijnego w formie epicznej, którego bohaterem jest postać biblijnego Joba. Jest to oczywiście poniekąd allegorya, w której Kołłątaj maluje melancholijny nastrój ducha własnego, dając całości szatę poetyckiego opowiadania o smutnych losach biblijnego bohatera.

Szeroki zakrój epiczny, jaki autor dał temu poe-

matowi i znaczny aparat erudycji teologicznej, jaką się posługuje, świadczą, że z pomysłem tym Kołłątaj od dłuższego czasu nosić się musiał i z wolna a mozolnie materiały do niego zbierał i gotował.

Treść poematu jest następująca. W pieśni pierwszej Bóg rozprawia z szatanem o Jobie i wskazuje tego męża, jako godny naśladowania wzór cnoty i pobożności. Szatan utrzymuje, że Job tylko dlatego jest tak cnotliwym i bogobojnym, ponieważ mu się dobrze powodzi i we wszelkie opływa dostatki. Aby szatana przekonać, że tak nie jest, Bóg oddaje mu Joba całkowicie i pozwala wystawiać na próby najcięższe. I szatan przystępuje do dzieła.

Pieśń druga przynosi obraz piekła. Na naraździe piekielnej, w państwie Lucypera, zabieramy znajomość ze wszystkimi dyabłami. Autor wymienia ich imiona, znane nietylko z Biblii, ale pojawiające się w pismach rozlicznych egzorcystów, a w przemówieniach ich streszcza naukę teologów średniowiecznych o dyabłach i ich wpływie na sprawy ludzkie. Piekło uchwała wojnę przeciw Jobowi, a Lucyper obejmuje dowództwo.

W trzeciej pieśni, którą poniżej podajemy — wojna dyabelska zaczyna się na całej linii. Lucyper wysyła na ziemię Jędzę, aby skłóciła ludzi i sąsiadów Joba zapaliła do wojny przeciw niemu. Udaje się również o pomoc do aniołów, rządzących wiatrami, a uzyskawszy zewsząd posiłki, rozpoczyna prześladowanie ulubieńca Bożego.



Z WYSTAWY „SZTUKI“ W KRAKOWIE



FR. BRUZDOWICZ: „ANIOŁY“.

Na tem urywa się wątek »Jobiady«. Jaki był dalszy plan poematu, niewiadomo, gdyż Kołłątaj z Josefstadu do Ołomuńca przeniesiony, otrzymawszy tam możliwość korzystania z biblioteki, nie powrócił więcej ani do tego poematu, ani wogóle do poezji, której tylko okolicznościowo, w braku poważniejszej rozrywki umysłowej, pióro swe poświęcił.

»Jobiada« jest jedynym w piśmiennictwie naszym utworem poetyckim, wprowadzającym dyabła i czyniącym go bohaterem epickiego opowiadania. Egzotyczna treść, ujęta w formę, zupełnie poprawną, wzorowaną na rytmice Wergilego, czyni ten poemat znamienym objawem literackim, a przede wszystkim godnym ze wszechmiar ogłoszenia go w druku.

W. P.



JOBİADA.

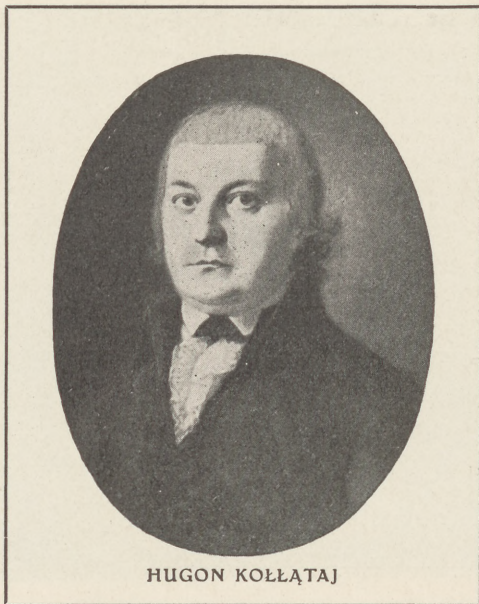
PIEŚŃ III.

OSNOWA. Lucyfer skłoniwszy piekielną radę do przyjęcia wojny przeciw Jobowi, wszelkie w tym celu przygotowania z największym czyni pośpiechem. Jędzę, rozkuta z więzów, wysłała na ziemię, aby skłóciła ludzi i zapaliła sąsiadów Joba do wojny przeciw niemu. Wyprawia poselstwo do Aniołów, którzy rządzą wiatrami i piorunami, aby dali przeciw Jobowi posiłki. Wszystko gotowe do zaczęcia wojny, oczekuje tylko ostatniego rozkazu Lucyfera. Cała ta fikcja poetyczna zawiera w sobie dalszą naukę o piekle i dyabłach, zmieszana z wielu powieściami pospółstwa. Allegoryja zaś w drugiej pieśni zaczęta, idzie dalej.

Lucyfer uzyskawszy piekielne wyroki,
Gotuje się do wojny bez najmniejszej zwłoki,
Zbiera dzielne rycerze i w przymierza wchodzi,
Wiatry, pioruny, ogień na pomoc przywodzi,
Ludzi nawet, bo bez tych niewiele dokaże,
On kusi, a człek robi, co namiętność każe.
Aby więc w swych zamysłach nie doznał przeszkody,
Ułożył Jędzę wysłać między ludzi wprzód
I posły do Anioła, co rządzi wiatrami,
Do tego, który włada ogniem, piorunami,
By poruszywszy razem Niebo, Piekło, Ziemię,
W dniu jednym złamał Joba przez ucisków brzemię.

Gdy się Bóg po potopie nad ludźmi zlitował,
Jędzę ze świata wygnał, i w piekle przykował,
By ród ludzki po strasznym ukaranu wodą,
Mógł się prędko rozmnożyć pod wzajemną zgodą.
Krzewi się więc na nowo potomstwo Noego,
Tęcza była rękojmnią przymierza nowego,
Które Bóg z człekiem zawarł... Noe sprawiedliwy
Pierwszy z ludzi oglądał te niebieskie dziwy:
Gdy ofiarę wdzięczności przed Bogiem zapalił,
Za to, że go z potomstwem przy życiu ocalił.
Nowy ojciec rozpoczął na ziemi wiek złoty,
W którym za wzór służyły Patryarchów cnoty.
Ludzie żyli nawzajem, jak bracia rodzeni,
Ani w swoich osobach, ni w prawach skrzywdzeni,
Nie szerzyła się zazdrość, ni zabiegłość chciwa,
Z potrzebnym chleb dzieliła ręka litościwa,
Słaby nie opuszczony, silny nie leniwy,
Ten że mu udzielono, ów że dał szczęśliwy.
Pokój wszędzie, krew ludzka nigdzie nie przelana,
Żaden naród nie dźwigał na barkach tyrana.
Jędza przykuta w piekle głęboko siedziała
I ledwie tylko dyabłów pokłócić zdołała.

Lecz niestety! Bóg jednak dozwolił wszystkiego,
By doświadczył z pewnością Joba cnotliwego,



HUGON KOLLATAJ

Niebo z trwogą spogląda, Lucyfer się śmieje
 »Niech się, rzecze, ród ludzki własną krwią obleje,
 »Niech się na nowo w smutnych pożogach zagrzebie,
 »Niech znają mą potęgę na ziemi i w niebie.
 »Czas odkuć Jędzę! Niech ją przedemnie przywiodą
 »Niech z sobą weźmie pełne naczynie z niezgodą
 »Bo ją wyszlę na ziemię«.

Wnet Szlepongryl leci,
 Za nim Frank biegnie z kluczmi, Szlem po scho-
 [dach świeci
 Idą w głębokie lochy, Szlem wszędzie otworzył,
 Szlepongryl Lucyfera rozkazy przełożył,
 Frank się kręcił i Jędzy uprzejmie winał;
 Tym razem Szuster ciężkie łańcuchy rozkował.
 Szlepongryl Jędzę z słodkim uśmiechem prowadzi,
 Przepowiada zwycięstwa i kłócić świat radzi.
 Wydobyta z więzienia stanęła przed tronem,
 Krocie węzów snuły się na łbie najeżonym,
 Oczy ogniem błyszczały, głęboko utkwione,
 W ręku miała naczynie jadem napełnione,
 Od ramion wyrastały nietoperze skrzydła
 Straszna z swojej postaci poczwara obrzydła,
 Straszniejsza z skutków, które między ludźmi działa,
 Rozkazów Lucyfera z chciwością czekała.

»Jędzo, rzecze król piekła, twych usług mi trzeba,
 »Mam wolność zniszczyć Joba, uzyskaną z nieba,
 »Chcę na niego poruszyć wszystkie moje siły,
 »Mocy niebieskie nawet będą mi służyły;
 Do tego jednak muszę użyć złości ludzi.
 Któż ich niezgodę zręczniej nad ciebie pobudzi?
 Masz lecieć jak najprędzej między kraje wschodnie,
 Gdzie Sabejscy pasterze żyją z sobą zgodnie,
 Gdzie mądre Chaldejczyki gwiazd obrotu liczą,

Powolni Ojców radom, cnoty ich dziedziczą
 Obieżysz na około ziemi Hus sąsiady,
 Zapalisz wszystkich razem do wojny do zwady
 Są to ludy spokojne, Joba przyjaciele
 Lecz ród ludzki spoczynku używa za wiele.
 Trza ich skłócić to pierwszym jest moim wyrokiem,
 Trza ich serca do wojny najmocniej zapalić
 »I cały onej ciężar na kraj Joba zwalić.
 »Użyj do tego plotek, kłamstwa i potwarzy
 »A kiedy się już dobrze nienawiść rozrzaży
 »Wystaw zaraz, że Joba spokojność fałszywa,
 Że się nią tylko uspić sąsiadów spodziewa
 Jak on na ich osoby, na majątek czuwa,
 Jak się w granicach swoich wzmacnia i posuwa,
 Jak się w ludność, dostatki w rolnictwo bogaci
 A nigdy złych widoków z przed oczu nie traci.
 Trzeba więc wcześniej powstać, choć na niewinnego
 Nim wyjdzie na despotę niepokonanego.

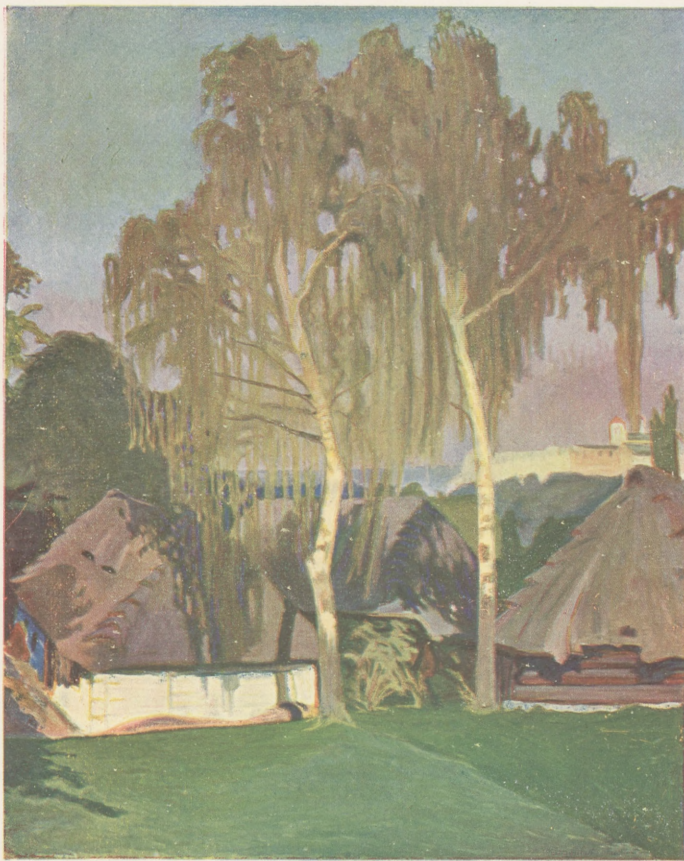
Potwarz, mówił Lucyfer, wszystkiego dokaże,
 Niewinnego oczerni, przyjaźń nawet zmaże,
 Nie masz cnoty, któraby przed nią ocalała;
 Jędza słuchając tego, z radości się śmiała.
 Chciała lecieć, ale ją Lucyfer wstrzymuje:
 Czekaj, aż me rozkazy drugim wygotuję.

W tem Rybencal z olbrzymiej wydobyty góry
 Stanął i ucałował królewskie pazury,
 Lucyfer mu oświadczył, jak o nim pamięta,
 Jak go szukać rozkazał gdy wojna zajęta
 Podała mu sposobność użyć jego sztuki
 Dla chwały piekła, nawet dla dyabłów nauki.
 Oto patent na wodza, na poselstwo drugi,
 Trzeba mi Rybencalu twej wiernej usługi.
 Jędzę do ludzi, ciebie wyszlę do Anioła,
 Który rządzi wiatrami.

.....

 Jędza się zaraz wzbiła pod same obłoki:
 Patrzymy więc, gdzie się ona na ziemię udała.

Skoro tylko z piekielnej paszczy wyleciała
 Wychodząc z pośród ognia dymem okurzona,
 Osmalona płomieniem leci jak szalona,
 Zębami zgrzyta, pianę złośliwą z ust pluje,
 Która gdzie padnie, wszystko zaraża i truje,
 Skrzydłami po powietrzu szum sprawia straszliwy
 Wszędzie słychać pisk węzów na łbie przeraźliwy.
 Mija Alpy i Tatry, leci za Kaukazy
 Zostawując po sobie ślad strasznej zarazy;
 A kiedy w tej podróży nad Tygrem stanęła
 Zaraz śmiertelne jady z siebie wyzionęła,
 Potem niezgodę w całej tej ziemi rozsiała
 Resztę trucizny w rzeki co prędzej wylała,



SZCZYGLIŃSKI

„BRZOZY“.

żyk złoty, jedyny skarb, jaki posiadałam. Zaprzysięgłyśmy sobie pamięć, lecz, matko! czem ja ją kiedyś w mieście spotkałam. — Psy wyły i targały łańcuchy, gdy opuszczałam dom nasz i dni dzieciństwa.

Zamieszkaliśmy ze szczupłymi środkami w mieście, ty, brat i siostra. Rozpoczęłaś i ja z tobą okres długi, życie inteligentów. Klasy ludzi najbardziej wrażliwej, najbardziej zatruwającej sobie życie, refleksyjnej, trawionej rozumem i zwątpieniem, a przeczulonej i idealistycznej. Nie umiemy tam już nawet krzywdzić z lekkim sercem, odczuwamy zaraz ból, widzimy wokół nędzę i smutki, a nie możemy im zaradzić. Weszłam w życie szkolne. Starł się świeży powiew wsi, na twarzach naszych przybladły rumieńce. Ból istnienia kiełkował w naszych sercach od lat czternastu. Może być, że jako dzieci wsi, ulegaliśmy temu silniej, niż inni. Lecz i dziś nie oddałabym mojej natury, odczuwającej i cierpiącej, za serce pyszne, twarde i spokojne. Biedne serce inteligenta. Czasem uniesione, zaciszne, czasem targane pragnieniem i ogniem niespełnionych nadziei. Niektórzy ojcowie nasi pozwalali ekonomom chorych chłopów bić, a nas rozdziera czasem jeden jęk ubogiego. Naturalnie i tu są usposobienia całkiem inne.

Wśród nauk poczęłam dopiero cenić, jak to dobrze kiedyś było zawiesić hamak wśród dwóch starych dębów, czytać książkę, bujać się i marzyć. W domu naszym bawiono się rzadko. Nie oswoiłam się z życiem i radością, ani nie doznałam szerokiego tchnienia młodości. Ukończyłam pensję z dyplomem i byłam nauczycielką.

Miałam już czas więcej wolny i przyszła jedyna zima zabawy. Głowę już przepełniłam książkowym dziwnym światem i pesymizmem. Ale przyjechali nasi krewni ze wsi i stałam się panną, jak pragnął mój ojciec. Marzeniem mi się wydał świat ludzi, którzy mają wszystko. Lubiłam strojność balową, woń perfum i kwiatów, dźwięk muzyki, fantastyczny płynny taniec. Otrzymywałam nieraz nagany, że jestem zbyt mało kłopotliwą i prostą. Cóż robić! W gruncie rzeczy nie był to mój świat. Ogarnął mię już szary tłum, dla którego próżne złudy fantastyczne. Rankiem po zabawie przebierałam się w zwykłe suknie i szłam uczyć. I nie sprawdził się też sen mój pierwszy, młodzieńczy, z miłością niedomówioną, świeżą i nie trwałą jak kwiaty. Mówiono głośno o mojej urodzie. Poznałam jednak, jak od marzenia do rzeczywistości daleko.

Zaziębiłam się tej zimy i słabowałam przez długi czas. Aż pamiętasz, matko, pod jesień ten długi kaszel, który zbudził cię wśród nocy i po którym nie mogłaś zasnąć. Byłam chorą. Postąpiło to szybko. Byłyśmy u lekarza. Kiwał głową. O poradę nie było trudno: Góry, świeże powietrze.

Uśmiechnęła mi się mimowoli nadzieja zimy wśród przyrody. Jakby wspomnienie czasów dzieciennych. Czułam, że staję się pierwszą osobą w domu, było mi smutnie i dobrze. Weszłam do pokoju, gdzie uczył się Jerzy i widząc w jego ręku małą, jakby dziecienną broń, która cię nieraz jednak lękiem napełniała, rzekłam, całując go w czoło:

— Daj mi ją!

— Po co? — spytał...

Wyjeżdżam i będę bardziej spokojną, jak jej mieć nie będziesz. Możesz kiedy być nieostrożnym. A przytem będę sama mieszkać, kto wie, co może się wydarzyć...

Wtedy on z tym szlachetnym odruchem ojca, co proszącemu nigdy nie odmawiał, odrzekł:

— Weź!...

I pojechałam. Przyjęły mię góry osypane śniegiem i chłodna świeżość jesienna. Zamieszkałam w willi na piąterku, gdzie na dole była jakaś czytelnia, a na górze jeden mały pokój. Wychodziłam tylko w południe. Jak na tym śniegu wśród wesołej natury ludzie wydawali się uśmiechnięci i radośni. Nie znać było choroby na twarzach, a co chwila przemykały się góralskie sanie, do nich uwiązane małe drewniane sanki, pełne gwaru i wesela. Poczynano się znać każdego przechodzącego z widzenia i zajmować z ciekawością jego losem. Po tygodniu kazano mi leżeć. Przychodziła do mnie polecona przez lekarza góralka i opowiadała mi o wszystkim, co się w świecie dzieje, w tym małym świecie, w którym każdy ma swoje życie, nie ginąc w tłumie innych. Na noc zamykała mię. Nie chciałam myśleć o możliwości pożaru.

Mówią, że chorzy na piersi stają się zgryźliwymi. Że znoszą ciężko los. Nie wiem. Mnie tylko było bezbrzeżnie smutnie i ja, biedna chora, leżąca na łóżku, gotową byłam do wszelkich poświęceń. Nawet do samego leczenia się. Czyniłam to zresztą dla was, by wam długo nie ciężyć.

Okno moje wychodziło na góry. Otwierano je rano i spoglądałam na nie pootulana, patrząc jak biela się, często ozłoczone światłem wśród błękitu. Do stóp ich wiodły szerokie pola, poprzecinane potokami, pootulane płaszczem lasów. Przypomniłam sobie jakiś talent literacki i pisałam:

O góry mej! bystra szczytów drogo
Wzwyż, w stronę słońca, przez świerki i sosny,

Przez piargi puste, kędy ledwie mogą
Zawisnąć orły. Złud wianku radosny,
Oto mi niesiesz w duszę skołatana
Dzieciństwa jakieś, zbiegłe dawno rano.
Mówcie mi... Życie me jak mgła ucieka,
Czy to już statek, co gna na rozbicie?
Lecz zanim spocznie znużona powieka
Oczy me w waszym zatapiam błękitcie,
I błogosławię was jeszcze, nim zgasnę,
Żeście wróciły dawne sny me jasne.

Nie były to dobre wiersze, ale mnie zdawało się, że są piękne. A było to przedewszystkiem w ten dzień, gdy już dawno przyszła wiosna i świat okrył się zielenią, gdy powiedziano mi, że za miesiąc będę mogła wyjechać. Posłałam wam list złoty od słońca i różany od radości, który wbiegł wśród was, pochylonych nad pracą, drodzy wy moi!

Ujrzeście mię, jak zapowiedziano. Byłam tęszą, miałam rumiane policzki, całowałam się bez troski z rodzeństwem. Myślałam już o wyrównaniu ubytku, wzięłam się z wolna do dawnych zajęć.

Niestety pierwsze zimna jesienne okazały całą nadziei zawodność. Poczęłam niknąć, okazało się, że mogę żyć tylko tam, na świeżem powietrzu, bez pracy i bez troski, jak ptak, wśród gór.

Ujrzałam wtedy po raz pierwszy mrok na twojej twarzy. Pamiętasz jak to było rok temu? — Wiedziałam już, ile nam kiedyś wszystkiego zostało. Byłam najstarszą. Nie mogłam jechać, nie mogłam. Wolałam śmierć ponieść, niż was skazać kiedyś na niedostatek. I wtedy wzięłaś mnie kłęczącą w swoje ręce, jak niegdyś, dziecko i rozdzielając i gładząc mi włosy, mówiłaś mi tonem przekonywującym, że to na krótko, że to nic nie znaczy, że kiedy będę zdrową, to ja wam wszystko to wynagrodzę i — czy ja pamiętam, co więcej! Uległam, bo miałam nadzieję. I teraz byłabyś złożyła wszystko na nieszczęście i poświęciła wszystko, lecz we mnie paliła się skrycie rozpacz, że doprowadzam was dla siebie do ubóstwa.

Chciałam jeszcze spróbować szczęścia. Miałam się na razie lepiej, mogłam szukać pracy i miałam jakieś niewielkie oszczędności, prawie na drogę. Zebrałam raz skrycie rzeczy po południu, napisałam kilka słów pożegnania i przybyłam tutaj.

Ogarnęła mię znowu baśń zimowa. Jechałam saniami z kolei. Śnieg wielki leżał na dole, lecz dachy i drzewa stały nagie, prawie czarne. W hotelu, w nieopalonem pokoju przyjął mię mrok i chłód. Zrozumiałam wtedy, że ten cały wyjazd był szaleństwem i ogarnęło mię przecucie śmierci.

Raz jeszcze uśmiechnęło mi się życie. Pozbyłam się dumy i po długim szukaniu ofiarowano mi w jednym z zakładów dla gości miejsce kierow-

niczki, która z powodu jakichś nieporozumień wyjeżdżała.

Nie wiem czy zrobił to mój dyplom, czy moje pełne biedy oczy. Jakże byłam szczęśliwą. Napisałam wtedy dopiero do was. Drodzy! był to list ostatni.

Dzisiaj po południu poszłam dowiedzieć się. Doniesiono mi niespodzianie, że nieporozumienia wyrównano i zarządczyni zostaje. Coś we mnie umarło nagle. Spytałam, jakając się:

— A cóż ja zrobię?

Odpowiedzieli mi:

— A cóż my na to poradzimy...

Szukałam jeszcze po południu, lecz czułam, że to już zapóźno. Śnieg zaczął padać, topniał na mnie i mroził mi twarz. Za ostatnie pieniądze kupiłam kilka róż i błąkałam się bezmyślnie po korytarzach hotelu. Musiałam być trochę przemarznąta, bo przychodziły mi dziwne sny. Było mi sennie i dobrze. Bajko moja!.. Zdawało mi, że siedzimy wszyscy razem przy stole, jak czynili dziadkowie i pradiadkowie nasi... A potem, że jestem na balu. On wrócił... Wierzyłam w to zawsze. Tak blisko...

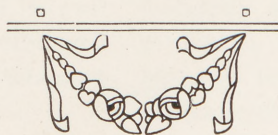
Zbudziłam się... w cieniu korytarza stali ubrani ciemno jacyś panowie i spoglądali na mnie. Zdawało mi się, że chcą się zbliżyć. Poczułam płomień na twarzy, zawróciłam do pokoju i zamknęłam drzwi za sobą. Piszę do was. Jest zmrok. Cichy, łagodny zmrok zimowy. — Śnieg przestał padać i okrył wszystko białą okiścią. Jutro nad to wejdzie słońce.

Źle mi jest teraz i gorzko. Nie skarżcie się na mnie. Jakież mam bowiem wyjście? Czy wrócić do was, a czyż mogę zresztą? — i na waszych rękach, patrząc na wasz ból, konać powoli. Czy pisać o pomoc i tutaj miesiącami, gardząc sama sobą, mieszkać, zostać. Nie mogłabym znieść myśli, że wam dzień za dniem łąmię życie. Mówię wam, nie przeklinajcie, bo bardzo mi teraz gorzko i samotnie. Szukałam wszędzie marzenia i gdyby nie to, możebym mogła żyć. Żal mi jest jeszcze wielu rzeczy, których nie znam. Ale może lepiej jest tak odejść czystą i młodą.

Może się kiedyś zobaczymy... Bóg lituje się nad nieszczęśliwymi. Za oknem spłynęła już noc... świecą gwiazdy... — Gdzie pójdzie mój duch?... Miejcie nadzieję. Żegnajcie!



WNĘTRZE WYSTAWY „SZTUKI“ W KRAKOWIE.





WINCENTY WODZINOWSKI

»WIOSNA«.

KAZIMIERZ TETMAJER.

O GREKU, CO ZNALAZŁ ZŁOTY HEŁM.

Hełm złoty Grek napotkał na nadmorskim piasku
 hełm może powrotnego z pod Troi rycerza;
 Snadź długo w morzu leżał, lecz nie stracił blasku —
 lśnił w słońcu. Wnet go włożył, czując jak uderza
 o jego złotą blachę promieniste słońce
 I wraz w głowie mu wstały by wichry szumiące —
 Perseusza, Jarona, Meleagra czyny

zaszumiąły mu w duszy. Nad wał morza siny
 biegnąc, pobiegł do miasta. Nikomu już włosy
 niezdobiły szyszaki — spojrzano z ukosa
 a on biegł w skały z dumą przybrany w hełm
 [złoty
 dziwiąc ludzi i budząc śmiech podłej hołoty.

MŁODOŚĆ.

Na kształt archanioła
 z ognistym mieczem w dłoni, z gwiazdami dokoła
 zlatuje na człowieka młodość i porywa
 duszę dziecka, jak wicher obłok na niebiosy —
 potężna, rozszalała, świetna, złotogrzywa,
 jako Herakles węże chwyta w garście losy,
 potrząsa niemi, dusi — i z wyroków losu,
 jak Herakles, wśród męki ginie swego stosu*).

*) Z siódmej seryi »Poezyj« Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa.



LUŻNE KARTKI.

(FELIETON TYGODNIOWY).

Setna rocznica Chreptowicza. —
Krótka pamięć o zasłużonych. —
Komedye z nazwami ulic. — Zna-
jomość historii. — Wiosna i teatr.
Budowlani patryoci.

Nadmieniłem w poprzednim fejletonie, żeśmy w tym roku, nawskróś jubileuszowym, zapomnieli o jednym jeszcze jubileuszu.

W cztery dni po śmierci podkanclerzego koronnego Kołłątaja, umarł, również w Warszawie, podkanclerzy litewski, Joachim Chreptowicz (4 marca 1812).

Jeżeli pierwszego z nich pamięć uczciliśmy, drugi prawie w równej mierze na to zasługuje. Choć umysłem nie sprostął genialnemu Kołłątajowi, był to przecież jeden z najrozumniejszych i najwybitniejszych mężów swego czasu. A zasługami swojemi bodaj czy nie dorównał księdzu podkanclerzemu koronnemu. Co więcej, obaj ci mężowie spotykali się ciągle na drodze pracy dla narodu, — bez zamiaru rywalizacji, rywalizowali ze sobą.

Chreptowicz, starszy wiekiem, wyprzedził Kołłątaja w tej pracy. On to poddał Stanisławowi Augustowi myśl przeznaczenia dóbr pojezuickich na cele edukacji narodowej i utworzenia osobnej komisji do czuwania nad oświatą publiczną. Za zgodą króla napisał projekt, przez sejm 1773 r. zamieniony w ustawę. Tak na smutnej pamięci sejmie rozbiorowym stanęła słynna, do dziś dnia chlubą dla nas będąca Komisya edukacyjna, pierwsze w Europie ministerstwo oświaty.

»W jego sercu — pisał o Chreptowiczu Kołłątaj — w jego rozumie znalazła nieszczęśliwa Ojczyzna tak pożądaną dla przyszłości ratunek. Jemu zostało na najgorszym sejmie najlepiej Rzeczpospolitej zrobić...«

Na tymże sejmie Chreptowicz przemawiał za nadaniem wolności włościanom. »Niewola ich — mówił — jest przyczyną niezaludnionego kraju naszego...«

Nie poprzestawał na samych wnioskach, projektach — za myślą szedł u niego czyn.

Czem był Kołłątaj dla spraw edukacji w Koronie, tem był Chreptowicz dla Litwy. Mając pod sobą cały departament szkół litewskich, zreformował je przy pomocy Poczobuta. Podniósł, ożywił Akademię wileńską — powołał do niej uczonych cudzoziemców. W dobrach swych założył własnym kosztem szkołę podwydziałową.

Włościan swoich obdarował wolnością.

Zakładał fabryki. Był współpracownikiem Za-

mojskiego w ułożeniu »Zbioru praw sądowych«. Czynności swego urzędu sprawiał gorliwie — brał udział w każdej sprawie publicznej. »Lat dwadzieścia — pisze historyk — oddawał się pracy moralnej i świętej, bez odpoczynku«.

Na wielkim sejmie doradzał »zaczne reformy«. Ułożył projekt o miastach wolnych w Rzeczpospolitej. Król go wtajemniczył w roboty przygotowawcze około Konstytucji 3 maja. Po jej uchwaleniu został ministrem spraw zagranicznych.

Wprawdzie po zwycięstwie Targowicy przystąpił do niej, ale czynił to w najlepszej wierze, aby kraj ratować. Widząc jednak, na co się zanosi, usunął się zagranicę, skąd powrócił na pierwszą wieść o powstaniu kościuszkowskim. Przed najwyższą Radą narodową »złożył dowody swej cnoty«, a komisya grodzieńska wystawiła mu świadectwo, że jako jedyny sprawca powstania w Grodnie, narażał swe życie i majątek. Deputacya indagacyjna »w najpochlebniejszych wyrazach« uwolniła go od zarzutów.

Po ostatnim rozbiorze osiadł w Warszawie. Był jednym z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Stworzył cenną bibliotekę, zebrał wspaniałe archiwum. Oddawał się czynom miłosierdzia.

Za Księstwa Warszawskiego, 80-letni starzec zaprzął się do pracy publicystycznej i przemawiał gorąco za reformą włościańską.

Więc chyba w sto lat po śmierci należy mu się to krótkie wspomnienie.

*

Należałoby się Chreptowiczowi i coś więcej, gdybyśmy nie mieli krótkiej pamięci.

Po śmierci każdego zasłużonego piszemy i mówimy o nim przez cały tydzień, a nieraz nawet przez cały miesiąc. Czasami oczywiście i wpadamy w przesadę. Używamy stereotypowego frazesu o »niezastąpionej luce« nawet tam, gdzie owa »luka« jest bardzo mała, niesłychanie łatwo zastąpić się dająca, ba! gdzie tej luki — całkiem niema.

Ale po miesiącu nawet najprawdziwiej zasłużonemu nie chcemy mieć wiecznego spoczynku. Wyjątek stanowią ci tylko, których nawet po śmierci potrzebujemy do... robienia polityki. Takich wywołujemy z grobu nawet po latach 50, aby się pochwalić, że jesteśmy spadkobiercami ich myśli, lub aby się powołać na ich »czyste« świadectwo dla naszych niezbyt czystych aspiracji i metodek działania.

Niepolityków to szczęście nie spotyka.

Więc też niezasażenie zarzucamy młodemu pokoleniu, że przeceniając nieraz twórczość lub zasługi żyjących, z lekceważeniem odnosi się do ich poprzedników. Ależ to młode pokolenie nie miało poprostu sposobności zapoznać się z działalnością tych, na których mogliś zachęcać trawa dawno zarasta lub kamień kruszeje.

Lubimy naśladować obcych, więc naśladowujemy ich i pod tym względem. Był czas, że czytywałem codziennie czeskie i rosyjskie dzienniki. Nie było tygodnia, abym w nich nie znalazł wspomnienia o tych, co byli i bytność swoją pracą, wiedzą, zasługą, zdolnościami, czynami serca zaznaczyli. Dziennikarstwo, o którym mówię, przypomina o nich społeczeństwu w każdą dziesiątą, dwudziestą, dwudziestą piątą, trzydziestą itd. rocznicę ich śmierci. Spełniając obowiązek względem ich pamięci, uczy młode pokolenie szacunku i wdzięczności dla nich, a jednocześnie nawiązuje nici z przeszłością.

*

W ostatnich dniach przypomniano sobie w Krakowie Asnyka, dzięki komisji, zajmującej się nadawaniem nazw ulicom krakowskim.

Komisja ta postanowiła ulicę, ochrzczonej nazwiskiem Asnyka, ofiarować Paderewskiemu, a Asnyka przenieść na ulicę Łazienną, gdzie miał niby mieszkać, choć wszystkim Krakowianom wiadomo, że mieszkał przy ulicy Łobzowskiej.

Wolno mi wyrazić wątpliwość, czy Paderewski z tego daru będzie zadowolony. Dotychczasowa bowiem ulica Asnyka nie jest właściwie ulicą — jest to tylko przejście z placu Matejki na plac Kleparski. Jak nikt nigdy nie pytał się o ulicę Asnyka, tak nikt nigdy nie będzie się pytał o ulicę Paderewskiego, z tej prostej przyczyny, że przy tej ulicy nikt nie mieszka. Jedną jej stronę stanowi bok gmachu Dyrekcji kolejowej, drugą boczna ściana Akademii sztuk pięknych.

Początkowo zamierzano nazwę ulicy Paderewskiego nadać ulicy św. Filipa, ale komisja uznała, że na to nie pozwala tradycja. Choć należę do największych wielbicieli tradycji, argumentu tego, przyznam się, że nie rozumiem.

Co za tradycja może być przywiązana do małej, wąskiej, przedmiejskiej, całkiem nie historycznej ulicy? Pojmuję tradycyjną nazwę ul. Floryańskiej (św. Floryana), św. Anny, bo z nazwami temi się wiążą wspomnienia dziejowe, łączy się historia miasta i jego zabytków. Mam wrażenie, że gdyby przemianować np. ulicę Floryańską, toby się zrobiło jakąś krzywdę Krakowowi, jakiś wyłom w jego tradycji, w jego świętościach. Ale co nam mówi ulica św. Filipa?

Różne są tradycje — jedne warto i należy szanować, drugie co najmniej są obojętne.

Przed laty, kiedy była mowa o nazwaniu ulicy Szpitalnej Teatralną, słyszałem pewnego radcę miejskiego, jak odpierał myśl tę z oburzeniem. Ale ten sam radca głosował za zburzeniem z piastowskich czasów pochodzącego szpitala i zacierał z radości ręce, kiedy kaplicę szpitalną, szacowny zabytek dawnych wieków, podstępnie rozwalono, przed rozstrzygnięciem protestu Matejki.

Z nazwami ulic nietylko u nas wyprawiają się zabawne historye. Niedawno np. istniała w Warszawie ulica Aleksandrya — nazwa to była tradycyjna, bo Aleksandrya było to niegdyś osobne miasteczko (jurydyka) tak jak Grzybów, Leszno i dlatego »komisja porządkowa« w r. 1771 nazwę tę dla przechowania tradycji zachowała i utrwaliła. Tymczasem przed kilku laty przemazano tradycję i nazwano Aleksandryę ulicą Kopernika. Dlaczego Kopernika? Czy na niej mieszkał, czy na niej choćby może wznosi się obserwatorium astronomiczne? Nie — jedynie dlatego, że w pobliżu jej stoi pomnik Kopernika. Też racja-fizyka. Ale jeżeli szło o przemianę nazwy, to odpowiedniej byłoby Aleksandryę nazwać ulicą Staszycy, bo dotyka jej bezpośrednio gmach wzniesiony przez tego wielkiego męża Towarzystwu Przyjaciół Nauk, bo ten Staszyc żył i działał w Warszawie. A jeżeli nie Staszyc, to Kraszewskiego, bo Kraszewski przy tej ulicy przyszedł na świat w r. 1812. Nie można mieć nic przeciw ulicy, świadczącej swą nazwą o czci dla wielkiego astronoma, ale można było tę cześć wyrazić, chrzcząc jego nazwiskiem jaką inną, nową ulicę, Aleksandryę zaś, szanując tradycję, zostawić w spokoju lub przechrzcić ją przynajmniej logicznie; zamiast starej, stworzyć nową tradycję.

Ale do uszanowania tradycji i logicznego tworzenia nowej, potrzeba obcować z historią — choćby troszeczkę. A tymczasem, po większej części, znać jej... nie mamy przyjemności.

Gdybyśmy ją znali, tobyśmy nie pisali o tem, że książę biskup krakowski zostanie prymasem. Wiedzielibyśmy bowiem, że ten tytuł, choć dziś nieurzędownie, a tylko tradycyjnie, służy arcybiskupom gnieźnieńskim, prymasom całej Rzeczypospolitej. Prymasami Królestwa Kongresowego byli arcybiskupi warszawscy. Ale czego prymasem miałyby być książę biskup krakowski? Czy może królestw Galicyi i Lodomeryi, albo W. Księstwa krakowskiego?

Gdybyśmy znali historię, toby nie pojawiła się we wszystkich dziennikach wiadomość, że odnaleziono testament Kołłątaja, ponieważ jest on od dawien dawna znany i niema już ani śladu po tych, co go »odnaleźli«.



WNĘTRZE SAL WYSTAWY »SZTUKA« W KRAKOWIE.

Gdybyśmy znali historię, toby dzienniki nasze w d. 8, 9 i 10 kwietnia nie pisały o zbliżającej się rocznicy bitwy raławickiej, bo ona minęła już 4 kwietnia.

Gdybyśmy znali choć najbliższe nasze czasy, toby nie drukowano w poważnym czasopiśmie, że ks. Paweł Rzewuski, biskup-sufragan warszawski po wygnaniu swoim (1865) »wkrótce umarł na obczyźnie«, ponieważ żył on 22 lat na wygnaniu, ostatni z niego powrócił, a dni swoje skończył nie na obczyźnie, lecz w Krakowie, w r. 1893

To są »pomyłki« dostrzeżone przezemnie w ciągu ostatniego tygodnia — ileż było niedostrzeżonych!

*

Te wyrazy: »w ciągu ostatniego tygodnia«, mocno mnie przerażyły, bo przypomniały mi obowiązki kronikarza tygodniowego, który powinien trzymać się tak zwanych spraw »aktualnych«, a nie gderać i cofać się do czasów przebrzmiałych, nikogo dziś nie obchodzących. »Trzeba z żywymi naprzód iść«...

Więc pragnę się poprawić.

Na porządku dziennym mamy przedewszystkiem wiosnę. Chciałbym za przykładem poetów na cześć

jej uderzyć w struny, ale natchnienie marznie. Spoglądam przez okno — biały całun pokrył cały Rynek krakowski, szczyty Sukiennic, dachy kamienne, wicher wciąż wieje, zamieć szaleje — klei się rym, ale nie wiosenny. Przynajmniej wiemy, kogo winić za tę intrygę przeciw poetom. »Przyczyną tego stanu (objaśniają dzienniki) są skutki niezwykłego ciśnienia barometrycznego w okolicach podbiegunowych«. Niegodziwa przyczyna, wstrętne skutki, bezczelne ciśnienie.

Nie barometryczne, ale finansowe ciśnienie jest przyczyną, skutkiem której teatr krakowski traci resztę swych sił, a raczej siłek i siłeczek. »Najstarsi ludzie« w Krakowie nie pamiętają tak lichej trupy teatralnej, jak ta, która dziś grywa w gmachu poświęconym »narodowej sztuce«. Posiada ona parę talentów (talent na dzisiejszą monetę znaczy koło 3.500 K) ale pozatem same... miedziaki. Zdawało się, że już niżej scena nasza upaść nie może. A jednak upadnie, bo jeszcze i to, co ma »lepszego« zabiera jej Warszawa. Zakładane w niej nowe dwie »świątynie« potrzebują kapłanów i kapłanek. A że ich na miejscu dostać trudno, więc zabierają, co się da, z »seminaryum« krakowskiego.



RYS. W. WODZINOWSKI:

J. CHREPTOWICZ.

Niegdyś był to uniwersytet, od nowego sezonu będzie to szkoła trywialna. Przyczyną tego skutku jest obok ciśnienia finansowego z Warszawy, brak ciśnienia finansowego w Krakowie. Dyrekcja krakowska odzwyczała się za talenty płacić... talentami. Inny talentopogląd ma dyrekcja sceny lwowskiej i dlatego ciśnienie warszawskie żadnej krzywdy jej nie wyrządzi.

EDMUND BIEDER.

PRIMAVERA.

Czujesz?... pąki pękają... pachnie wiosną noc...
W zaświatach utajone młode życie drży
I piersi dreszczem wstrząsa jakaś słodka moc
I wracają dziecięce, dawno śnione sny...
I pachnie wiosną noc...

Czujesz?... Pachną jabłonki, pachną mocno bzy
I dusza biegnie kędyś w śniony w bajce kraj...
I oczy opływają w jasne, ciche łzy
A na łące do tańca gra Rusałkom maj...
I pachną mocno bzy...

O innej krzywdzie, odczuwanej przez naszych budowniczych, dostawców i rzemieślników mówiono na posiedzeniu Rady miejskiej. Oto obce firmy budowlane zakładają w Krakowie filie, trzymając się »starej zasady«, aby miejscowemu przemysłowi »stworzyć konkurencję przez niskie ceny i dogodne warunki spłaty«. Więc ostrzegano społeczeństwo przed tem niebezpieczeństwem i wzywano je do bojkotu obcych przybyszów, co jest »obowiązkiem każdego o polskość miasta i kraju dbałego obywatela«.

Uznają to niebezpieczeństwo, ale...

Dlaczego, kiedy powstała u nas instytucja dla popierania przemysłu swojskiego, a bojkotowania obcego, w gronie ludzi bezinteresownie, z prawdziwym poświęceniem trudu i czasu na tem polu pracujących, nie znaleźli się panowie budowniczowie, dostawcy, rzemieślnicy? Dlaczego dopiero wtedy, kiedy ciśnienie finansowe ich dotknęło, wołają, że bojkot jest obowiązkiem każdego o polskość miasta i kraju dbałego obywatela?

To jedno pytanie. A drugie: dlaczego ci panowie nie połączą się, nie stworzą własnych firm budowlanych ze »starą zasadą« niskich cen i dogodnych warunków spłaty? To byłby jedyny, najlepszy sposób usunięcia niebezpieczeństwa. Ale ci panowie wolą się trzymać »nowych zasad« i stawiać »pod pręgierz opinii publicznej« tych, co nie chcą płacić wysokich cen i przystawać na niedogodne warunki spłaty.

Ten patriotyzm własnej kieszeni mam prawo stawić pod pręgierz, jako jeden z tych, co pracowali w instytucji bojkotowej, a spotykali się nie tylko z obojętnością, z brakiem poparcia, ale i z szyderczemi uśmiechami dzisiejszych, w ostatniej chwili narodzonych budowlanych patriotów.

Kazimierz Bartoszewicz.

Czujesz?... Krzyczy za słońcem każda kropla krwi
I dreszcz dziwnie rozkoszny przebiega przez świat
Jak kwiaty rozkwitają tajemnicze sny...
I dusza się rozchyła w słońce jako kwiat...
I Ty... i Ty... i Ty!..

Słyszysz?... Kędyś daleko echo jakieś drży
I o wiosnie, co idzie smutną piosnkę gra...
Przekwitają zbyt skoro i kwiaty... i sny...
A głód szczęścia wieczyście w duszy ludzkiej trwa...
Tak wiosna w duszy gra...

TREŚĆ NUMERU 3-go: *M. Wierzbński*: Małżeństwo na próg, powieść, (c. d.) — *Hugona Kollataja* nieznanymi poemat epiczny »Jobiada«. — Druga katedra literatury polskiej w Uniw. Jagiellońskim przez *W. P.* — *Miecz. Smolarski*: Bywają smutne dni (nowella). — *K. Tetmajer*: Młodość (wiersz). — *Edm. Bieder*: Prima-

vera (wiersz). — Luźne kartki, felieton tygodniowy przez *K. Bartoszewicza*. — *Antoni Potocki*: Cypryan Norwid. — Kronika literacka — artystyczna i teatralna.

NASZE ILUSTRACJE. Zamieszczona na naczelnej stronie ilustracja przedstawia jedno z cenniejszych studyów paste-

lowych prof. Axentowicza. Dwie barwne ilustracje przynoszą reprodukcje z obrazów *W. Wodzinowskiego*: »Wiosna« i *H. Szczyglińskiego*: »Brzozy«. Dalej podajemy dwa zdjęcia wnętrza sali wystawy »Sztuki« w Krakowie, portrety *Joachima Chreptowicza*, *Cypryana Norwida*, prof. *dra H. Windakiewicza*.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Fryderyk Wielki pyta pewnego dnia swego nadwornego lekarza:

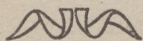
— Szczerze mówiąc, powiedz doktorze, ilu też ludzi wyprawiłeś na tamten świat od początku twego zawodu?

— Sire — odpowiada tenże — żadną miarą nie mogę się równać pod tym względem z jego królewską mością, wyprawiłem ich bowiem przynajmniej o trzy-sta tysięcy mniej.

— Pozwól żonko, iż ci przedstawię pana N. N., mego przyjaciela, a zarazem człowieka, który napisał najwięcej głupstw w swem życiu.

— Pan jest zapewne poetą?

— Nie, pani, jestem stenografem w parlamencie.



Nauczycielka: — Wyraz »ideał« jest greckiego pochodzenia, panna Nowicka nam powie, jak to można powiedzieć po polsku.

Panna Nowicka milczy.

— No!...

Uczenica, rumieniąc się:

— Janek.



Wobec **znacznego spadku kursu losów** polecamy grupę losów:

- 1 los węg. Bazylika
- 1 " " Czerw. Krzyża
- 1 " austr. " "
- 1 " włoski " "
- 1 " tyton. serbski

na spłaty miesięczne po 8 Kor. za **288 Kor.** (36 rat), (dawniejsza cena za gotówkę 252 Kor.)

Prawo gry po złożeniu pierwszej raty. Wykazy ciągnień bezpłatnie.

Kantor wymiany „MERCURY“

Braci Eibenschütz

w Krakowie, ulica Floryńska L. 3 (drugi dom na prawo od Rynku głównego).

BIURO TECHNICZNE

Inżynier Bolesław Jurski i Ska

KRAKÓW, UL. SZEWSKA L. 15.

Dostawy materiałów technicznych i instalacje światła elektrycznego. Ceny niskie. — Kosztorysy bez zobowiązania.

PIERWSZORZĘDNA KSIĘGARNIA

„NAUKA I SZTUKA“

w Krakowie, ul. Podwale L. 6.

poleca najświeższe nowości beletrystyczne; prenumerata pism krajowych i zagranicznych.

STANISŁAW PIOTROWSKI

zegarmistrz, Kraków, Sławkowska 24.

poleca swój bogato zaopatrzony skład zegarków, zegarów, oraz biżuterii złotej i srebrnej.

Ceny konkurencyjne.

Pierwszorządny Salon fryzjerski

ADAMA SZYDŁOWSKIEGO

w Krakowie, Karmelicka 5, (obok kawiarni Bizanza)

!! Lokal wykwintnie urządzony !!

Fabryka artyst.-brązownicza

p. f.

F. Kopaczyński i Ska

w Krakowie, Bracka 2. — Tel. 23-30.

Największa odlewnia szlachetnych metali. Najstarsza firma polska w dziale przemysłu art.-brązowniczego.

JULIAN BASTRZYCKI

Pierwszorządny magazyn galanteryjny

W PIOTRKOWIE, UL. KALISKA.

KUPUJcie WSZĘDZIE!

KUPUJcie WSZĘDZIE!

POCZTÓWKI ARTYSTYCZNE

-- WYDAWNICTWA „WISŁA“ W KRAKOWIE --

reprodukcyje obrazów malarzy polskich.

Cena za sztukę 12 hal.

Cena za sztukę 12 hal.

KASA i KANTOR WYMIANY otwarte cały dzień bez przerwy od godz. 8 rano do 7 wieczór.

Do AMERYKI przesyła pieniądze najszybciej i bez kosztów za pośrednictwem własnych banków.

Finansowanie robót i dostaw publicznych i rządowych.

Jak najkorzystniej składa
Wadya i kaucyje
za przedsiębiorców
i dostawców wszelkiego
rodzaju.

Korzystna lokacja posagów
na książeczki. (Unikat-Duplikat).

Czeki, Przekazy, akredytywy, inkasa na wszystkie miejsca krajowe i zagraniczne.

Ústředni Banka

FILIA W KRAKOWIE
róg Rynku głównego L. 42
a ulicy św. Jana L. 1.

Wkładki oszcz. K 115,000.000

Bezpłatne Depozyta dla P. T. Komitentów.

Kupno — sprzedaż obcych walut i monet.

WKŁADKI

na rachunku bież. i książeczkach **4¹/₂ 0/0**

Podatek rentowy opłaca Bank z własnych funduszów.

Lombard papierów wartościowych.

J. Hopcas i A. Salomonowa

BIURO DZIENNIKÓW i OGŁOSZEŃ
ORAZ KSIĘGARNIA

W KRAKOWIE

UL. SŁAWKOWSKA 2, DWORZEC KOLEJOWY

Zawsze nowości na składzie.

«ENGLISH HOUSE»

KONFEKCJA MĘSKA - ARTYKUŁY MODY
I SPORTU

W. MAJEWSKI

W WARSZAWIE, Ś-to KRZYSKA 8
TELEFON 36-58.

poleca

PALTA angielskie, KAPELUSZE
MATERYAŁY angielskie na ubrania
KOSZULE kolorowe i białe
TRYKOTAŻE, skarpetki

i t. p.

St. Sokołowski

- Biuro dzienników -
czasopism i ogłoszeń

we Lwowie, Pasaż Hausmana.

NOWO WYBUDOWANY

HOTEL FRANCUSKI
HOTEL DE FRANCE

W KRAKOWIE

PRZY ROGU ULIC ŚW. JANA I PIJARSKIEJ

w najlepszym położeniu plant, w pobliżu stacji kolejowej, Rynku głównego, c. k. Starostwa i głównych arterii miasta, zostanie z dniem 1 kwietnia 1912 r. otwarty. — **Położenie bardzo spokojne.** — W każdym pokoju telefon, automatyczny przyrząd do budzenia, ciepła i zimna woda, pokoje z wannami, apartamenty familijne, 3 windy elektryczne, ogród zimowy Vacuum-cleaner, własna pralnia mechaniczna, restauracja, kawiarnia, czytelnia, fryzjer męski i damski, autogarage, autoomnibus przy każdym pociągu. — **Ostatni wyraz komfortu i higieny.** ○○○○○○○○○○ Ceny przystępne.

Ceny ogłoszeń: Za jednoszpaltowy wiersz petitowy na stronie I hal. 80; na II, III i IV hal. 60. Przy czasowych ogłoszeniach opust.